

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH.



Lwów, 25 marca 1847.

Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

## M O D Y.

Paryż, dnia 11 marca 1847.

**Stroje damskie.** Jesteśmy w epoce w której trudno powiedzieć co nowego o modzie; mówić o strojach zimowych już za późno; o wiosennych za wcześnie; prosimy zatem nasze piękne czytelniczki na dni kilka o cierpliwość, za co sownie będą potem wynadgrudzone, gdyż zapewnić już teraz możemy że stroje które się mają z wiosną ukazać zachwycają nie jednego pięknocią i dobrym gustem, a to wnosząc po przygotowaniach jakie w wielu miejscach widzieliśmy.

Chociażto jeszcze za wcześnie, jednak po wielu składach widzieliśmy już śliczne materie na suknie letnie; są to materie jedwabne i muszliny w desenie bardzo rozmaite; w pasy lub kraty średniej wielkości i w rozmaitych kolorach.

Widzieliśmy już nawet eleganckie parasoliki przygotowane aby zasłaniać pleć piękną od pierwszych natrętnych promieni słońca; materie z których są robione bardzo są bogate i gustowne oraz. Niebawem damy o nich opis szczegółowy.

O kształcie kapeluszków trudno w tej chwili zawyrokować, to tylko powiedzieć możemy iż pierwsze modystki tutejsze wiele już w tym względzie poczyniły przygotowań, które niebawem ściągają na siebie niewieście spojrzenia.

Opiszemy jeszcze tym razem parę całkowitych strojów, które nam się godne wspomnienia zdały: Suknia axamitna ubrana w przodzie wyłogami w zęby wycinanemi i krepiną obszytymi; z gładkim, wysoko zachodzącym i kończastym stanikiem; rękawy gładkie niżej łokcia dochodzące, spodnie rękawy muszlinowe. Suknia z indyjskiego muszlinu z podwójną spodnicą szerokim haftem ozdobioną, i bukietami z róż

podpiętą; stanik gładki, wycięty, z bertą zaokrągloną na przodzie i bukietem przypiętą; we włosach róże.

**Stroje męskie.** Materie jakie widzieliśmy na wiosenne stroje przygotowane, są po największej części czarne z błękitnem, zielonem lub popielatem; to jest iż są w kolorach więcej ciemnych niż jaskrawych; jedne bywają w bardzo duże, inne znowu w małe kraty.

Materie na kamizelki są w pasy lub cienie; a najczęściej w jasnych kolorach.

Rycina przedstawia: Suknię z popielatego peplinu w atlasowe pasy, z gładką spodnicą, z gładkim, wysoko zachodzącym, zapinanym na przodzie stanikiem; rękawy gładkie, mankietki batystowe; narzutka z granatowego axamitu, z przystającym stanem, gładkimi, półdługimi rękawami; z krótką spodnicą skrojoną z przodu czworobocznie i wkół szeroką korunką obszytą; wielka korunkowa peleryna niżej stanu dochodząca; czarny atlasowy kapelusz ubrany bukietem róż na boku, a pod spodem różowemi wstążkami. Strój dla dziecka: błękitna axamitna sukienka, z krótką spodnicą, z wyciętym otwartym z przodu stanikiem, z wyłogami które zachodzą na ramiona i formują bertę z tyłu a z przodu przymocowane drobnemi axamitkami; staniczek muszlinowy w fałdy układany; rękawy długie także fałdowane; majtki batystowe, haftowane, ciżemki axamitne błękitne. Suknia axamitna zielonego koloru, której spodnica podwójnym wyłogiem przystrojona; stanik gładki na ramiona zachodzący, i do połowy otwarty; czepeczek muszlinowy *à la Marie Stuart*, ponsowemi wstążkami ubrany.

Figura męska przedstawia: surdut z klapami do zapięcia z przodu z długim stanem; kamizelka długa i w dole rozwarta; spodnie prosto krajane.



## SALON I ULICA.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

### ROZDZIAŁ DRUGI.

#### Zbytek i nędza.

Młody człowiek płaszczem owinięty, wśród tymczasem do pomieszkania Karlińskiego, i zastał już salony wypełnione. Towarzystwo zebrane u Karlińskiego składało się z samych mężczyzn, bo jako wdowiec nie spraszał kobiet do siebie. Czasem tylko w zapusty wyprawiał sute bale, na które panie salonowe przyprowadzały i własne i córek swych wdzięki, nie zważając wcale na brak gospodyni. Bo w paniach salonowych przemogą wszystko żądze bawienia się; nie ma dość ważnego zdarzenia, dość wielkiej żałoby, któraby je wstrzymała od balu; byle tylko poskakać, stroje swe i wdzięki pokazać, pójdą wszędzie i zawsze. Lecz razu jednego pułkownikowa mimo całej pilnującej ją ostrożności Karlińskiego, tak sobie dogodziła truneczkiem, a zrzuciwszy czypiec i zakasawszy axamitną suknię takie dokazywała sceny, że Karliński zaniechać musiał balów na czas jakiś, a jeżeli nawet występował z niemi czasem, jego pani nie gospodarowała, z czego wielce była ucieszona, bo nad wszelkie bale przenosiła swoje przyjacielskie wieczorki, w których kilką mundurami otoczona, dzielnie wysuszała pełne szklanice a chrapliwym swym głosem kasarniowe spiewała piosnki.

Nie będziemy szczegółowo opisywać wieczornej zabawy i gości pana Karlińskiego; wszakże śmietanka wyższego towarzystwa znajdowała się na nim, a wieczór odbywał się, jak się zwykle odbywają wszystkie wieczory męzkie. Młody człowiek, który takie w Karoszu zbudził zadziwienie, zastał wszystkich przy herbacie, tej konieczności wieczorków miejskich. Na okrągłych stołach pozostawiano mnóstwo naczyń srebrnych, niekoniecznie do herbaty potrzebnych, ale mających dowodzić zamożność pańską; a na wszystkich były herby, cyfry i korony. A że u nas konieczne aż małpować potrzeba, nie mogąc małpować rozumu i dobrych własności Francuzów i Anglików, małpujemy Francuzów język, a Anglików zwyczaj, choćby najmniej dla nas stosowne. Do herbaty więc prócz mnóstwa ciast rozmaitych pozostawiano szynki, ozory, jaja i sery, i konfitury, i owoce, i Bóg wie co jeszcze. A rozmowa, jak zwyczajnie rozmowa salonowa, już to w francuzkim po większej części języku wiedziona, i z francuzkim akcen-

tem, którym się zwykle więcej szycimy, niżeli gruntowną znajomością języka; rozmowa była głośna i próżna, gdyby olbrzymi wiatrem nadęty pęcherz, wiatrem hałasujący.

Było w niej trochę o teatrze, nie tyle ze stanowiska estetycznego ile ze stanowiska zakulisowego.

Pan Leon Badylski stary młodzieniec na prawdę, a młody starzec na pozór, szeroko opowiadał patrząc zyzem na słuchających o wdziękach nowej aktorki.

— I odmówiłeś ją ty tyranie aktorek, ozwał się pan Ludwik, młodzieńcki dowcipniś salonowy bez dowcipu.

— Publiczność powinna cię ukamienować, dodał młody Kazimierz, wyglądający jakby rycina żurnalowa.

Niemalże też w rozmowie rzeczony był o koniach; wszakże na tem zebraniu było parę Stewardów, kilku Rider gentlemenów; a znających się na koniach, lubowników końskiej Balasa literatury co niemiara.

To też techniczne słowa angielskie padały jak grad; a potop kłamstw koniarskich sięgał zgromadzonym po uszy. Między przystojnym i wysmukłym Alexandrem a brzydkim podsadkowatym panem Antonim przyszło nawet do mocnej sprzeczki o pierwszeństwo *Faworyty* i *Jargata*.

Pogodził ich maciupki pan Leander, dowodząc, że ani *Faworyta* ani *Jargat* nie warci jednej nogi jego *Amadysa*, na którym on, gdy jeszcze gonił za bogatym posagiem żony, dwadzieścia mil uciał jednym pędem za godzin dziesięć.

Wszyscy uwierzyli, bo mieli na ustach przygotowane już inne również prawdopodobne prawdy.

Z koni przejście naturalne było do polowań, lecz nie myślcie państwo, że mówiono o tych naszych polowaniach kniejowych, z rogiem w ustach, szeroką siecią w koło kniei i kilką tęgimi sforami psów gończycych. A pfe! któżby takie stare i wyświstane już przypominał rzeczy; *stééple-chasse* panie, *parforce*, wściekłe skoki i hece po debrach i skałach za lisem, padały im tak lekko z ust, że aż miło. Z dawnych polowań nic już nie zostało, prócz dawnego kłamania myśliwskiego.

Wielki i barczysty pan Kalasanty uciał im historią aż strach o polowaniu w górach, na którym trzy konie rozpekło się pod nim w skoku, czterech ludzi wpadło w przepaść, a coby jeszcze mniejsza było, bo: »cóż to dla mnie trzy konie, mówił pan Kalasanty głosem tak donośnym, a z ruchami szerokiej pięści tak energicznymi, że wszyscy z samej



bojaźni uwierzyli; a ludzie ci, to byli jakieś tam chłopcy, których każę wypędzać na polowanie; ale jeden z moich angielskich dogów, sławny Billow, w skoku przez ogromną przepaść piętnasto-stopową, że nadto silny wziął popęd, zamiast stanąć na drugim brzegu przepaści, dosięgnął kilka stóp dalej stojącej smereki, i zawisł na niej. Nim za nim przeskoczyłem przepaść na Diarmidzie, mój tęgi Billow wyzionął ducha. Szkoda go!

— Szkoda! powtórzyli wszyscy chórem, i zajęli szynką tę gorącą sprawę.

Z polowania cóż było łatwiejszego jak przejść do kobiet; wszak i to także rodzaj polowania. A co z nich każdy upolował cudzych żón, wdów i panieli, na wołowejby nie spisał skóry. O kobiecych cnotach zamilczano jak o polowaniach dawnych; ale za to o własnej tęgości, o zalotności kobiet nagwarzono mnóstwo słów bezdowcipnych, gdyby sieczki. I młodzi i starzy szli w tej rozmowie na wyścigi, a nawet tacy, którzy już za dni kilka mieli zaślubić młode jakieś i niewinne dziewczęta, gadali o cnotcie kobiecej jak o mitologicznej bajce, jak o romansowym wymyśle. I nikt z nich nie pamiętał, że do kobiet tak lekko przez nich obmawianych, należały przecie ich matki rodzone. Skandaliczne powiastki występowały po sobie bez żadnej przerwy. A ta część rozmowy przeciągała się tak długo, że się już Karliński, któremu zupełnie nie na rękę była taka bezpożyteczna pogadanka, zaczął kręcić na stoliku, gdy ją nagle przerwał milczący dotąd młodzieniec, z szlachetną twarzą i smutnym wyrazem w niebieskich oczach.

— Trzeba mieć wiele zbywających pieniędzy, mówił on głosem dźwięcznym i śmiałym, by je wyrzucać na takie smutne zwycięstwa, o jakich panowie rozmawiacie.

Pogłupieli wszyscy, i otwarte gęby z wyrazem niepojętego zadziwienia zwrócili na mówiącego.

— A jużciż, odezwał się półgłosem ten drugi młodzieniec, którego widzieliśmy na ulicy, na to mamy pieniądze, by niemi dogadzać sobie.

— Słusznie, odrzekł młodzieniec z błękitnym okiem, lecz kto ma tyle by dogadzać wszelkim zachceniom swoim, czyliż nigdy nie uczuje potrzeby zachceń szlachetniejszych, wydatków pożyteczniejszych.

— Zapewne! zapewne! mruknął jeden i drugi półgębkiem... lecz nie rozumiemy o czem pan mówi...

— Przyszło więc mi na myśl; ciągnął błękitno-oki młodzieniec nie bez lekkiego szyderstwa na ustach, że trwoniąc tyle złota na te wszystkie wasze

wyprawy romantyczne, podziękujecie mi panowie, gdy im zaproponuję nowy, chociaż mniej znaczny wydatek.

Wszyscy pospuszczali jak to powiadają nosy na kwinty, i zaczęli dopijać resztki herbaty i dojadali resztki angielskiego podwieczorku.

— Pan Karliński zna najlepiej pana Erazma, starca sześćdziesiątletniego, który wraz z trzema synami jutro już musi opuścić miasto nasze, i puszczając się w świat bez najmniejszego zasobu pieniędzy. Pan Karliński przyrzekł nawet jeżeli się nie mylę i to kilkakrotnie już panu Erazmowi, że się uda do swoich przyjaciół...

— Ja... to jest... wprawdzie... ale... i zajęknął się Karliński, a do tabakierki złotej zajrzał najspieszniej.

— Owoż; mówił dalej przystojny młodzieniec, tę to sposobność wyrzucenia pieniędzy podaję teraz panom... zrobicie szlachetny uczynek, a raczej spełnicie obowiązek moi panowie.

— Ciężkie czasy! mruknął jeden.

— Trudno każdemu dawać... szeptał drugi.

— Czy to się człowiek nie nadawał już dosyć w życiu, przebąknął trzeci.

— Nawet nie mam podobno pieniędzy przy sobie, wymówił czwarty, uderzając się w piersi uzbrojone pod koszulą w skórzaną torbę z banknotami.

— Nie tu miejsce! dodał piąty.

— Że też nie można się zabawić spokojnie, rzekł szósty.

— Szczególne to jest to darcie oczów, zagadał siódmy.

I tak, i owak mówili, a wszyscy pomału powstawali od herbaty, i milczkiem i chyłkiem wynosili się do drugiego salonu, w którym porozstawiane zielone stoliki uśmiechały się do nich, najmiłszem zajęciem, najśodszą nadzieją. A młodzieniec z błękitnym okiem patrzył za nimi z bolesnym szyderstwem na uśmiech, a smutnym zadziwieniem w oczach.

I milczenie trwało ciągle, a ta scena stawała się coraz nieprzyjemniejszą, gdy nagle otworzyły się drzwi, a przez nie z wielkim zadziwieniem przytomnych, weszły dwie panie, krokiem poważnym i śmiałym. Ich stroje czarne, zawieszane u rąk koszyki i torbeczki, a nareszcie przypomnienie na wielki tydzień, który się miał jutro zacząć, otworzyły wszystkich oczy. To były kwestarki wielkanocne.

Nie będziemy tu opisywać te panie, z którymi się zapewne później zdybiemy; tyle tylko tu o nich wspomniemy, że jedna była już dobrze stara, chociaż starannie odmłodzona, druga zaś była i młoda i pię-



kna; obydwóch zaś oczy zalotnie latały wokół, i z wzywającą śmiałością patrzyły w zgromadzonych mężczyzn. Młodsza poskoczyła naprzód, i słodkie oczy błagalnie w koło rzucając i uśmiechem miłym nęcąc, zaczęła potrząsać torbeczką swoją. I wszyscy się do niej zbliżyli, i zabrzęczało złoto wrzucane do torbeczki, zaszeleściły papiery bankowe wsuwane do koszyka.

I zarumieniła się mocniej trochę, gdy się zbliżył młodzieniec z ulicy, a rzucając do torbeczki swoje daninę, szepnął jej z cicha:

— Jakże mi przykro, że nie mogę pani służyć dzisiaj w tych nudnych wędrówkach kwestowych.

— Ale jutro?...

— Jutro jestem wolny... jeżeli mogę nazwać się wolnym naprzeciw pani.

A gdy wyszły kwestarki, jeszcze pogardliwiej spojrział młodzieniec błękitnooki na towarzystwo całe, i już nie chciał więcej przemawiać do nich za starcem biednym z trzema synami.

I porwał młodzieniec za kapelusz, lecz chwilę się zatrzymał jeszcze, by spojrzeć na towarzystwo, które jak najspieszniej po wyjściu kwestarek obsiadło stoliki zielone. Mało było stolików wiskowych, bo gry jak je nazywają komercyjne, są za poważne, za nadto zimne, i chociaż wiskowi terażniejszowiekowi namiętność gier hazardowych dodała i *szturm* i *kajenę*, które go po większej połowie hazardowym zrobiły, zawsze przecie wisk jest wiskiem. A nie ma jak diabełek!... to jest gra nad gry wszystkie; bo to w niej można prędko i zgrać się i przyjaciela ograć, a co najwięcej, w diabełku popłaca zgrabność, która stała się dzisiaj sztuką wyzwoloną. Są też dziś ludzie, których całym dochodem jest diabełek, a żyją przecie, i dobrze żyją, i lepiej żyją od tych wszystkich, którzy nudnie i żmudnie pracują na chleb powszedni. Złożono więc cztery stoliki razem, stasowano ośm talij kart, rozciągniętych przez środek stołu czarodziejskim węzłem; misę postawiono, w którą sypnęły się złote monety i papierki bankowe, i z uroczystością ważniejszej sprawy godną, zasiadło osób kilkanaście do tej walki, która dzisiaj zastępuje dawne turnieje. Wszak przy diabełku idzie także o życie, i więcej jak o życie, bo o pieniądze, które życiu dzisiejszemu nadają wartość, treść i znaczenie. Twarze graczy są na pozór obojętne, bo od tego jest dobre wychowanie by się na twarz nie dostał żaden wyraz chciwości trawiącej ich duszy. Gdyby broń Boże na jaw twarzy i wyrazu wyszły uczucia wewnętrzne, patrzący nie poznałby salonu wytwornego, wielkoświatowego, ale

mniemałby się w towarzystwie więźniów galerowych. Bo tam jeden drugiemu, choćby go przed chwilą przyjacielskim witał uśmiechem, żąda wydrzeć wszystko, a im więcej wygrał, tem namiętniej i pożądliej patrzy i mierzy resztkę gotówki. A jak mu wszystko wydrze, czemże dla niego zgrany i goły przyjaciel wczorajszy. Skórka cytryny wyciśnięta nie ma soku, nie ma wartości.

Wkoło stolików siedzi najczęściej młodzików, między którymi rej wodzi pan Karliński, który twierdzi, że najlepsza sprawa z młodymi. Gospodarz domu w tym względzie jest człowiek doświadczenia, i przekonał się już nieraz, że poważne peruki, szanowne łysiny, i owe honorowe wstążeczki pąsowe, które zawsze zdybać można przy zielonych stolikach, najfatalniej go ogrywali. To też on za to przez słuszny odwet nagromadza u siebie bezwąsych przedstawicieli młodszego pokolenia i obeina ich niemilosiernie; on ich kształci w tej potrzebnej nauce salonowej, i doświadczeniem im oddaje, co nabrał od doświadczenia.

Karliński odmłodził między młodymi; chociaż siedzi nieruchomy, poważny i uroczysty, ale oczy jego gdyby łyskawice, gdyby jaskółki w burzy, latają za każdym dukatem, za każdym banknotem, promieniem wesela witają nowego przybysza, piorunem gniewu ścigają zmiennika uciekającego w inne ręce. A jak tasuje karty po mistrzowsku! Palce ruchem gadziny uwijają się koło kart, i w obu rękach rozciągają się posłuszne karty, gdyby dwa wachlarze olbrzymie, i ledwie małym dotknięciem palcem, z trzaskiem i świstem zapadają jedna za drugą; młodzież nie może się dosyć nadziwić tej zgrabnej szybkości. Najzawziętym po nim graczem jest znany już nam młodzieniec z ulicy: to też z starym Karlińskim najsmielej idzie w zapasy; co chwila paki banknotów przerzucają się między nimi, od jednego do drugiego, garście dukatów z wściekłością prawdziwą rzucają sobie nawzajem. A jak zawzięte są obydwóch spojrzenia; zda się że iskry sypną ich wzroki gdy się zdybią nad złotem.

I któżby to uwierzył, że ten młody człowiek jest synem jedynakiem pana Karlińskiego. Tak jest w rzeczy samej, jest to pan Alfred Karliński... syn to gra z ojcem tak zawzięcie.

Błękitnooki młodzieniec patrzy z odrazą niewymowną na tę scenę obrzydliwą, i byłby już dawno odszedł, lecz zatrzymał go jeden rys nowy tej gry. Z każdej cokolwiek większej puli diabełkowej stary Karliński bierze to dukata to piątkę, dzieli te pieniądze na dwoje i składa na boku. Przyszedł mu



na myśl starzec z trzema synami; może to dla niego robi składkę tym sposobem. Zatrzymał się więc jeszcze i czeka końca tej podwójnej składki, która pulą po puli coraz więcej się zwiększa.

Karliński jest widocznie w swoim żywiole, to też aż miło patrzeć na rozjaśnione lica jego. Z uczuciem niewymownego zadowolenia przewiduje on całą noc tak lubo i spokojnie a bez przerwy przepędzoną przy zielonym stoliku.

Lecz przeznaczenie chowało dla niego jedną przerwę niemiłą, jeden nieproszony epizod tego swobodnego zajęcia. Po chwili bowiem ozwał się głos jakiś niecierpliwy w przedpokoju przytykającym do salonu. Głośną dosyć sprzeczkę długo nie słyszeli nawet gracze, których uszy przy grze mają tylko słuch dla brzęczącej lub szeleszczącej monety, i dla rzadkich zwyczajem uświęconych słów diabełkowej mowy. Lecz nareszcie ocknął się stary Karliński, i niespokojny wzrok swój podzielił między pulę, którą ze zwyczaju starego pilnował zawsze troskliwie, i drzwi, z poza których wzmagający się dochodził hałas.

I otworzyły się drzwi, a przez nie silnym ruchem ręki odpychając wstrzymujących go galonowych lokai, wszedł starzec z piękną twarzą, zmarszczkami i jakimś cięciem głębokiem naznaczoną, siwemi włosami i wielkimi wąsami podobnej barwy, spadającymi na poblądle od cierpienia jakiegoś po liezki.

— To musi być pomyłka; wyrzekł głosem silnym jeszcze, na pół do przedpokoju, a na pół do salonu zwróconym; Karliński zamówił mnie na dzisiaj... trzeci raz już przychodzę... a te draby chcą mnie zatrzymać... przepraszam, dodał postrzegwszy towarzystwo tak liczne; lecz mnie czas nagli... jutro muszę odjechać. I westchnął biedny staruszek. Błękitnooki młodzieniec poznał starca i poskoczył ku niemu.

— Panie Erazmie! przemówił do niego z uczuciem.

— Jak się masz pocziwczę? Witajże kuzynku! dodał zwrócony do Karlińskiego, który niespokojnie wiercił się po krześle, i nie miał jak się zdaje ochoty przyznać się do kuzynostwa z biednym starcem.

— Acan Dobrodziej! przemówił nareszcie Karliński niespuszczając oka jednego z pełnej puli. Widzisz, że mam gości.

— Więc możemy wyjść do drugiego pokoju... wszak mi sam przyjsć kazales.

A tak... w samej rzeczy... mam zaszczyt prezentować panom pana Erazma Prawdzickiego...

— Aha! mrukneli gracze i pospuszczali oczy.

— Panom wiadome jest smutne położenie tego pana....

— Aha! powtórzyli gracze: i spojrzeli po sobie i na Karlińskiego i na pulę i zrozumieli się wszyscy od razu.

A Karliński nieco spokojniejszy zaczął szukać po puli; przewracał dukat po dukacie, jakby je chciał lekkim palca ruchem przeważać; aż nareszcie po chwili wydobyl z głębi oberzniętego i dziurką naznaczonego kulfona, który już dawno zwrócił uwagę Karlińskiego swoją mierną powierzchownością, a westchnawszy poniewoli, wyciągnął go i podał stojącemu przed nimi starcowi.

— Co możemy, to dajemy... wykrztusił Karliński. Racz Acan Dobrodziej przyjąć wraz z życzeniem szczęśliwej podróży.

Zamilkł starzec przez chwilę, ciemny pons pokrył bladą twarz, usta zadrgały konwulsyjnie; widocznie wstrzymywał burzę wewnętrzną, która wrzała w nim okropnie. Porwał za kulfona, i ściskając zęby wyrzekł nareszcie:

— Nie było mi wstydem żądać pomocy od ciotecznego brata mojego, pana Karlińskiego... ale jałmużny nie prosiłem... tego kulfona, jeżeli go jaka zechce przyjąć, dajcie której z waszych przedajnych kochanek... Żegnam panów! i rzuciwszy biednego dukata, który nawet nie zadzwonił, na stół, odwrócił się ku drzwiom.

— Idę z tobą ozwał się błękitnooki młodzieniec; a cichszym głosem dodał zwrócony do Karlińskiego, wskazując jedną z kupek piętężnych, które jak mówiliśmy składał gospodarz: ja myślałem, że to składka...

— A tak panie dobrodziej... i my umiemy cenić zasługi, i my umiemy nieżałować pieniędzy; to składka dla Szefa Szypulskiego...

Zadrzał młodzieniec; oko jego lysło gniewem i pogardą.

— Ładna składka! wymówił donośnie, i tych co dają, i tego komu dają, i tego funduszu szulerkiego. Odwrócił się dumnie i wyszedł z siwym starcem.

Wszyscy milczeli, jakby im słowa pomarły w uszciech.

Szef Szypulski, byłto stary i znany szuler, któremu sprawiedliwy ale leniwy paraliż odjął prawą rękę.

— Któż jest ten młody impertynent? zapytał wreszcie jeden z grających.

— A to jest pan Władysław, odpowiedział Karliński, trzymając rzuconego kulfona z zakłopotaną miną.



— Ten niby poeta? rzekł drugi.

— Goły literat! zaśmiał się trzeci.

— Ja się tylko dziwię... dodał inny.

— Acan dobrodziej się dziwisz, przerwał stary Karliński, że ja go przyjmuję do siebie, a nawet zapraszam czasem. Coż robić! to jest nieszczęście naszego wieku i naszych zwyczajów, że koniecznie do przystrojenia salonu potrzebni są literaci. Nikt z nas nie wierzy w nich, ale wypada jakoś mecenasować literaturze, protegować tych pismaków, których próżnuteńkiej głowy najlepszy jest dowód, że do nas przychodzą, jakby nie mogli tego pojąć, że w naszych salonach nie są czem innym, jak tylko dodatkiem do przystrojeń salonowych, rodzajem obicia, które się skromnie ściany trzymać powinno. Ja wybrałem sobie tego Władysława; jestto sobie powieściarz podobno, bo mi się wydał najpotulniejszy... ale kiedy i on od ściany chce już wskoczyć w środek salonu, i z swojemi widzimisiami hardo występować... precz z paniczem! szcztka w nos i za drzwi... *on ne se gêne pas avec ces gens de rien!*

— Brawo! ozwało się kilka głosów.

— Ależto ten pan Władysław, jest podobno rywalem twoim Alfredzie, zagadał któryś z grających.

— Moim rywalem! odpowiedział Alfred pogardliwie... *un gueux, comme lui.*

— Słyszałem przynajmniej, że to jakiś ogromny, a odwieczny był jego romans z panną Kamillą.

— *Vous battez la campagne*, mój drogi!.. to tam na wsi, jak mieszkała Kamilla... zwyczajnie poufałość sąsiedzka, stosunki dziecinne!

— A tak! tak! dodał głosem niby poważnym, niby szyderczym Alexander, to były stosunki dziecinne.

— Panowie, do rzeczy! przerwał uroczysty głos starego Karlińskiego, który ciągle kulfony pogardzonego przewracał w palcach... no a tego dukata... ponieważ już i tak wyjęty z puli, położę chyba na bok do tych pieniędzy na karty dla moich ludzi.

— A zapewne! odrzekło kilka głosów.

— Ale pozwolicie, że go zamienię, bo to straszny jak uważam kulfony... i wybrawszy sobie ważnego dukata z miski, położył go do tej kupki drugiej, o której mówiliśmy.

Były to pieniądze składane za karty dla służących niby, którzy ich jednakże nigdy nie widzieli; bo stary Karliński, korzystając z przyjętego zwyczaju, karty sam kupował, a pieniądze za nie w czasie gry składane, brał do kieszeni jako dochód własny. A było dochód nie mały miarkując po spo-

rej kupce pieniędzy, którą już w samym początku gry nagromadził.

I zacne towarzystwo grało dalej, a najzawzięciej walczył ojciec z synem.

Lecz zostawmy na chwilę salon i zejdźmy na ulicę, a przeszedłszy wszystkie znaczniejsze i porządniejsze, zajdźmy na przedmieścia, na których w nierównym porządku cisną się nędzne domostwa jedno na drugie. Niskie i lepione ich ściany, pokalczone drzwi, okna pozalepiane papierem, podziurawione dachy, powyłamywane parkany i ciasne dziedzińce śmieciem napelnione, z rozwieszoną tu i ówdzie bielizną w łachmany roztrzępioną: wszystkoto świadczy, że to inny niż w mieście świat, że tu mieszka nędza. Jeżeli zobaczysz skąpe światelko, to rzemieślnik długo w noc pracuje, aby w końcu dzienną i nocną pracą zarobić ledwie na skąpy chleba kawalek. Jeżeli gdzie wrzawę usłyszysz, to może dziecko woła o chleb i ciepło, lub nędzą rozkwazzone małżeństwo swarzy się z sobą; a nawet wesole wrzaski, to są krzyki pijane, któremi niejeden zagłusza nędzę własną i rodziny swojej. A jeżeli gdzie ciemno i cicho, to nie mniemaj koniecznie, że to sen i spokój, ale milczenie rozpaczliwe, dumanie samotne nad jutrem, dla którego ani dzisiaj, ani wczoraj nic nie przysposobiło; tam może kona nie jedno życie bez pomocy lekarza, który na gołe przedmieścia nie zachodzi, bez apteki, która prosię jeno uważać w dalekim nigdy się nie sadowi przedmieściu, ale zato domy miejskie bogaczy otacza wkoło jakby siecią; toteż chory z przedmieścia, choćby złapał równie gołego lekarza początkującego, i wybłagał lub ostatkiem swym zapłacił receptę, kogóż wyszle do apteki w dalekie miasto, a poczciwy sąsiad lub sąsiadka, gdyby nawet pomódz szczerze chcieli, jakże mają w zimną noc pójść tak daleko, bez ciepłej odzieży i bez butów. Jestto jeden a drobny rys tej stulicowej nędzy przedmieść naszego wieku, a każde lico nosi inne jej piętno.

Wiatr wiosenny przebiegał ciemne i brudne ulice przedmiejskie, a samowładnie przez wszystkie dziury i szpary wbiegał do izb ubogich; odpędzany od bogatych i dobrze zaopatrzonych domów samego miasta, zanosił do chat przedmiejskich w gościnę zimno, o którym się ani marzyło mieszkańcom miasta. I wieleżto razy mieszczaninowi o licu rumianem, przedmieszczanin siny od zimna, gdy rozpowie o zimnie i wietrze nocnym, wyda mu się śmiesznym i głupim.

Za porządniejszym nieco parkanem, który otwierał się furtką wiecznie skrzypiącą, czemu znowu



towarzyszyło nieustanne jęczenie zawieszanej na górze tablicy z butem i nazwiskiem naszego Karosza. Na czystym dosyć dziedzińcu wznosił się mały ale schludny i czysto pobielony domek. Był to całe miasteczko, i duma naszego Karosza, który nabywszy tę chatę przeniósł się do niej z miasta, a chociaż przez to wiele z swoich dawnych potracił dochodów, radował się biedak tą swoją lichą własnością niepospolicie. Nie płacił już wprawdzie drogiego czynszu za pomieszkanie, ale niemniej przeto dokuczalo mu ubóstwo. Darmo pracował biedny Karosz, bieda mieszkająca ciągle w domu; a czyliż to wiele potrzeba dla rzemieślnika; jedna zima dłuższa a zimniejsza, drożyzna kilkumiesięczna, słabość jedna, i już zgubiony; zalażał w długie po uszy, a z nich już nie go nie wyratuje, bo dług dla biednego jest to potwór o niezliczonych głowach, a każda z nich zowie się lichwą. A za jedną zatkałą paszczą sto innych wyrasta.

Aniołem opiekuńczym szewca Karosza była Bogumiła, córka jego, która sama jedna z licznej jego rodziny w domu pozostała. Pięciu miał synów poczciwy Karosz, i wszyscy rozsypali się po świecie. Karosz kochał swoich synów, i nieraz po swojemu szczerze rozwodził za nimi żale, ale darmo, bo przyjemności rodzinne, domowe, są tylko dla szczęśliwych bogaczy.

Zajrzyjmy do domku. Po jednej stronie był warsztat szewski, którego opis nadto może pokrzywił piękne twarze naszych czytelników. A przecież na tych niskich brudnych stołkach drewnianych, na tych szklanych kulach, o które się skąpe światło łójówki odbija, w tych porozrzucanych w kącie kawałkach starej i nowej skóry, na tym bohomyzmie, który wisi w końcu z wyobrażeniem matki boskiej, tyle przyszło łez dawnych, tyle zastygło westchnień, tyle żywych a prawdziwych przyczepiło się cierpień ludzkich, ile wam piękne czytelniczki żadna, chociażby francuzka nienagromadziła powieść. Koło warsztatu był alkierz, a w nim sypialnia naszego Karosza. Po drugiej stronie domu było pomieszkanie Boguni z dwóch także pokoi składające się. I w nich były ślady ubóstwa, ale zakrywała je ile mogła czystość, która była dziełem młodej córki Karosza. Te dwa pokoiki to było państwo biednej dziewczyny, w którym władała samowładnie, czystością i obcierała wszystko, w zieloność wazonków z kwiatami stroiła jak mogła, a pomału i z trudnością zbierała to sprzęty porządniejsze, to jakieś ładniejsze przedmioty, nabywane własnej ręki pracą; bo Bogunia była znakomitą haftarką. Dla salonowca

przesyconego i zepsutego pomieszkanie to całe wydałoby się obrzydliwe i śmieszne, nędzne a mianowicie bez gustu; lecz ktoby tam zajrzał okiem bezstronnem, a wszedł z umysłem i sercem wyższych mąk i uczuć zdolnym zdumiałby się, ile w tym całym porządku, w tej czystości, w tej niejednostajnej zbieraniu skromnych pokoju przystrojów, jest szczerego wdzięku, prawdziwej poezii, która zdawała się z powabnej postaci Boguni przelewać się na wszystko, co ją otaczało. I ktoby ją widział w tej chwili, gdy siedząc na drewnianym ciemno lakierowanym stoliku, zajęta jakimś haftem oczekiwała na ojca, zadziwiłby się jeszcze więcej. Bo prócz powabów młodości, prócz świeżych wdzięków białego lica, rumianych ust, regularnych rysów, czarnych i lśniących się włosów, i ciemnych oczów ognistych; na jasnym i wzniosłym czole była myśl głębsza, w oczach, które niedarmo zwierciadłem duszy nazywają, odbijała się szczerza prostota i czystość duszy, której nędza i okoliczności życia pokalać nie potrafią. Koło ust tylko, obok uśmiechu dobroć serca zwiastującego, przeciągał się ledwie widziany rys cierpienie zwiastujący; jakby częste tych ust wzdychania ślad ten przechodu swego wycisnęły; na twarzy tylko bladeść liców zdawała się dowodzić, że troski rozmaite zmyły już z nich ten rumieniec wesela, który na młodych zakwita twarzach. I nieraz westchnienie poruszyło jej pełną i dziewiczo utoczoną pierś, i z oczów zabłysło spojrzenie tak niespokojne, tak trwożne, jakby się już te oczy nauczyły wpatrywać w wiele bolesnych scen życia. W tych oczach lży już nieraz gościły. I nie można powiedzieć, by w całym wyrazie jej twarzy, i całej jej postawie było coś wyższego nad jej stan, i wszystkie te jej ubogie otoczenia. Ona była na równi z swoim biednym położeniem. Zakres jej myśli i uczuć nie wybiegał za granice; jakie biednej dziewczynie los przeznaczył; ona nie posiadała tych wszystkich wybujałych wyobrażeń i zachceń, jakie tak często powieść przypisuje bohaterkom swoim. Ona była dziewczyną ludu nie taką jak ją karykaturują salonowi powieściarze, ale taką jaką być powinna, jaką być może, i jaką znaleźć można często, zajrzawszy nie powierzchownie, ale sercem do niskich strzech przedmiejskich. Ona miała wszystkie właściwości i cnoty proste, spokojne i pracowite ludu. Była to prawdziwa dziewczyna ludu, bez jego głównych przywar; skromna, bojaźliwa i spokojna, miała cnoty ludu w swej pierwotnej postaci nieskażone, a jeżeli się jej serce litowało nad nędzą bliźniego, był to litość bezwzględna, pobożająca przyczynom, a bie-



żąca w pomoc potrzebie nie osobie. Bo biedny tylko umie rozumieć biedę bliźniego, i nie pyta wcale czy ta z własnej, czy z cudzej pochodzi winy; jeżeli czyni przysługę, to bez względu na bliższe lub dalsze stosunki potrzebnego. Potrzebny jest mu bratem bliższym od najbliższego krewnego; i jałmużna taka nie jest jałmużną tylko, ale darem serca. Bogunia była skromną bez przesady, bo inną być nie mogła. I mogła upaść, bo serce jej było czułe, ufne, pragnące miłości, ale jej upadek nie byłby sztucznie przygotowany, wyrachowany na przyszłość, jak się to zdarza najczęściej w życiu. Jej upadek byłby nie-szczęściem, któregoby może nie przeżyła, ale nie występkiem. Boguni wiara religijna była wiarą dzieciinną; wierzyła w tego wielkiego Boga, karzącego i nagradzającego w życiu drugim, bo taka wiara jest jedyną pocieszycielką biednego, jej modlitwy były dla niej tylko, nie dla patrzącego na nią świata. Jej uczucia wszystkie nie przechodziły granic cichego domku rodzinnego, jej żądze nie sięgały za niebieskimi migdałami marzycielek romantycznych, jakie tworzy próżniactwo. W tych gonitwach po próżniach eterycznych wielu panien, nie ma po większej części żadnej prawdy; jest tylko trochę nałapanych romansowych ubrdań, a więcej może przeladowania żołądkowego tem smaczny, soczystym a ciągłym jadłem, które stanowi u pań połowę życia, a którego biedna Bogunia często na suchym chlebie ograniczona ani znała.

Jedyną może różnicą Boguni od innych córek ludu, stanowiło wychowanie nieco staranniejsze, jakie się jej dostało w udziale. A brak tego wychowania u córek ludu, czyliż jest ich winą? Czyliż krzycząc na pospólstwo, drwiąc z jego głupoty i niewiedomości, między smaczny obiadem a wesółym balem wieczornym, między przechadzka a wizytą, między rannem uzbrojeniem się w strój a wieczorną walką załotów, mają szczęśliwi czas pomyśleć o przyczynach tej głupoty, i czyliż mają chęć zaradzenia onej szczerze, nie powierzchownymi instytucjami, które mi się wydają jak angielskie plastrzyki przykładane do ran gangrenujących się, ale gruntownie, wszedłszy w potrzeby i wymagania tego pospólstwa, do czego trzeba częściej porzucać wonne salony, i zachodzić w plugawe pomieszkania ludu, wcielić się w ich życie, by je zrozumieć. Trzeba się zbliżyć do ludu nie jak do cudzych, do obojętnych, ale jak się zbliża do brata, któremu los odmówił zasobów fizycznych i moralnych. Uwierzyć w to trzeba, że się z ludem po bratersku obchodzić trzeba, nie jałmużną chwilową, ale starannością całego życia. I

nie powinno to być wypływem zachcenia chwilowego, romantyczną wycieczką, ale postanowieniem silnym, niezmiennym, żadną trudnością nie zatrwożonym; otwarciem na oścież wszystkich dzielących drzwi i zapor, zniszczeniem moralnem wszystkich słupów granicznych. I nie trzeba się zrażać pierwszym przyjęciem jakiego doznać można w chacie ulicznika!...

Rozgadawszy się za wiele może wracam, do Boguni, o której mówiłem, że lepsze od innych nieco miała wychowanie, które z prawdziwego przypadku odebrała. Gdy bowiem szewc Karosz przed laty szesnastą po raz pierwszy pojawił się w stolicy z żoną, pięciu chłopcami i najmłodszą bo dwuletnią, Bogunią, bawiła przy nich młoda jeszcze, ale cierpieniami duszy i ciała do grobu chyląca się kobieta. Kto była i z kąd przyszła, tego nikt prócz Karosza nie wiedział, sąsiedzi tylko uważali, że Karosz, który był dosyć z natury gwałtowny, a często oddawał się trunkom, miał niepospolite uszanowanie dla Tekli, i nikomu, nawet żonie własnej, która przecie lubiła rej w domu wodzić, nie pozwolił chybiać tej bladej kobiecie, która żyła na łasce zamożnego szewca. Tekla przywiązała się do Boguni najwięcej, i przez dziewięć lat była dla niej prawdziwą matką. Od niej to nauczyła się Bogunia czytać i pisać, i od niej nabrała tego słodkiego i cierpliwego usposobienia, i tej pracowitości, które ją prawdziwym aniołem opiekuńczym Karosza robiły. Bo gdy najprzód żona Karosza, a później biedna Tekla przeniosły się na smętarz, Bogunia prowadziła gospodarstwo w domu ojcowskim, a do budżetu domowego najwięcej przykładala się pracą rąk swoich, które przez dziwny kaprys czy omyłkę przyroda dała jej tak małe, białe i piękne, jak gdyby je chciała do próżnowania stworzyć. Bogunia miała jak mówiliśmy wyobrażenie ciche, raczej do poważnego rozmyślenia niżeli do swawolnej wesołości skłonne; rzadko z domu, chyba do kościoła, wychodziła, a z rówienniczkami przedmiejskimi jak najrzadziej przystawała. Mimo to od niejakiemu czasu stała się jeszcze cichszą; piosnki nawet ulubione, które czasem o zmroku swym czystym i pięknym głosem nuciła, cichły pomalu; a na jej twarzy powabnej osiadała codzien poważniejsza, jakby myśl jaka głębsza, wyciskająca pomalu na czole i koło ust owe rysy głębsze, które są jakoby śladami, któredy doświadczenie życia przeszło. *Możeto była miłość?* Bo nie śmiecie się piękne czytelniczki, które mniemacie, że monopol miłośnych uczuć do was wyłącznie należy — i córki ludu umieją także kochać, a biedna Bogunia miała serce zdolne miłości silnej



poświęceń bez miary, wiary bezgranicznej. Pierwsze wrażenie miłośne mogło stać się stanowczem w jej życiu całym.

Siedziała więc jak mówiliśmy Bogunia z haftem w rękę, a oczy jej biegły ku drzwiom niespokojnie — snąc ojca oczekuje; a przecież czasem wyleci westchnienie tak ciężkie, oczy łysną tak namiętnie, iż możnaby wnioskować o ważniejszym nad oczekiwanie ojca umysłowem zajęciu.

Wszedł nareszcie poczciwy Karosz zziębnięty i głodny. Bogunia zerwała się z miejsca swego i pobiegła ku ojcu. Chód jej był mniej powabny, niżeli cała jej powierzchowność, bo biedna dziewczyna była kulawa.

Karosz, który mimo dobrego uczynku swego, nie mógł zapomnieć owej wichy pani Wojciechowej, tak czarownie go nęcącej, w fatalnym był humorze.

— Czy nie masz co jeść? zapytał kwaśno, nie pocałowałszy nawet córki wedle zwyczaju.

Biednej Boguni łzy zakręciły się w oczach; ona także była głodna, i rachowała nie mało na przyjęcie Karosza.

— Ja myślałam, że tato co przyniesie; rzekła nieśmiało.

— No wielka rzecz! nie przyniosłem nic, ale przez to jeść muszę... te draby mi nie zapłacili... ależ ty musiałaś przecie za te twoje głupie hafty odebrać pieniądze.

Karosz gniewem i głodem odurzony, zapomniał w tej chwili, że ona oddała mu zrana całotygodniowy swój zarobek na zapłacenie nabranej na kredyt skóry.

— Zaraz, zaraz przyniosę; odpowiedziała pokornie Bogunia, i zaczęła krzątać się kulejąc, po drugiej izdebce.

— Tylko prędzej do diabła... bo mój żołądek wyposzczony nie ma czasu czekać.

Bogunia nie odpowiedziała, ale już po chwili zarzuciwszy chusteczkę na głowę, szła ku drzwiom cisnąc pod chustką jakiś przedmiot, który widocznie chciała schować przed wzrokiem ojca.

— Gdzie idziesz? krzyknął ojciec niecierpliwie.

— Do Franciszkowej! odrzekła Bogunia, i przyspieszyła kroku, o ile na to pozwalał jej chód kulawy.

— Do kroćstotysięcy! zaczął Karosz, ale nagle zamilkł patrząc, jak na progu biedna Bogunia potknęła się krótszą nogą tak mocno, iż ledwie nie upadła, i twarz jego pokryła się wyrazem szczególnego rozczulenia; a Bogunia tymczasem już była za domem, już biegła biedaczka pustą i ciemną ulicą.

A Karosz milczał i oczy spuścił w dół z rodzajem pomieszania, a nawet westchnął głęboko. On w tej chwili pamięcią cofnął się o lat kilka w tył.

Bogunia miała wtenczas lat trzynaście. Byłoby w parę lat po śmierci pani Tekli; dziewczynka była wówczas prosta jak świeca, a mimo nędzy śpiewała jak ptaszek pomiędzy ubogimi ścianami domku ojcowskiego, a skakała wokół jak wywiórka młoda. Karoszewi wiodło się wówczas bardzo źle, bo wyniosłszy się za miasto, mało miał roboty, więc też częściej zazierał do pani Wojciechowej, u której jako u kumy swojej miał kredyt niepospolity. Bo biedny rzemieślnik, któremu nie dają żadnego wychowania moralnego, któreby utrzymywało równowagę z smutnymi zdarzeniami jego ciężkiego losu, gdy mu się raz noga powinie, szuka pociechy w tym zabójczym trunku, który jeden daje mu chwilowe zapomnienie biedy. Owoż w złowrogiej chwili jednej, Karosz znękanym długami i całotygodniowem przymuszonem próżnowaniem, po całodziennym pijatyce u pani Wojciechowej, powrócił w nocy do domu, przeklinając w duchu całe przeznaczenie swoje i wszystkich ludzi. Wszedłszy do izby, zastał Bogunię tańczącą po niej. Ten widok wprowadził go w wściekłość.

— Ty sobie tańczysz warjatkę! krzyknął.

Bogunia rozśmiała się najniewinniej.

— I śmiejesz się jeszcze, ty próżniaku do niczego; poczekaj, ja cię oduczę tych skoków.

Bogunia tańczyła dalej, i jakże nie miała tańczyć, kiedy przy mrozie kilkunastu-stopniowym drugi dzień już nie miała czem zapalić w biednej chacie. Wódka zaś tak Karosza rozmarzyła, że gniew jego doszedł do wściekłości zapamiętałej. Jak na nieszczęście Karosz wracając do domu, znalazł na drodze spore polano drzewa, które jakaś przejeżdżająca fura zgubiła zapewne. I w chwili szału gniewu i pijaństwa, uderzył Bogunię polanem w nogę tak mocno, że biedaczka padła i zemdląła. Przestraszył się wpółwytrzeźwiony szewc, i rzucił się do niej; oblał wodą; Bogunia zbudziła się. I w tej chwili Bogunia niepomna na ból okropny, objęła szyję ojca rączkami swemi, i całowała go i pieściła, a rzekła do niego słodkim głosem:

— Przepraszam cię tатku, żem nic nie odpowiedziała, ja tańczyłam, bo mi nogi skośniały z zimna... ale jeżeli mnie kochasz, jeżeli kochasz synów swoich, i mamę i naszą Teklę... nie mów nic o tem nikomu... ja powiem, żem spadła z strychu.

I zemdląła biedaczka drugi raz; próżne były łzy i narzekania Karosza; noga była złamana, a Bogu-



nia źle leczona, została kulawą na całe życie. Przypadek ten miał wpływ przemożny na jej całe usposobienie; dziewczyna kulawa samotniejsza jeszcze wiodła życie; pożegnać się musiała na zawsze z wesołymi tańcami, a Bogunia lubiła tańcować. Karosz zarzekł się pijaństwa; nie mogę wprawdzie zapewnić i zaręczyć, że odtąd nigdy nie zajrzał do szynkowni pani Wojciechowej, ale to przynajmniej dotrzymał, że już nigdy na kredyt nie pijał. Wszakże i to niemają było rzeczą, bo biedny szewc przedmiejski nie miał tyle naraz gotówki, by się mógł mocno upić.

Dla Boguni był odtąd lepszym ojcem niż kiedykolwiek, a widok kulejącej córki był mu wiecznym wyrzutem sumienia. I dlatego w tej chwili wewnętrzznego oburzenia owe odświeżył sceny.

— Do Franciszkowej! mruknął po chwili... znowu coś zastawić... byle nie co mojego! dodała brudna miłość własna, której się najlepszy człowiek i w najlepszej chwili zaprzeczyć nie może.

Lecz daremna była bojaźń miłości własnej, bo w tej właśnie chwili dochodziła Bogunia do brudnej i ciemnej chatki Franciszkowej, a pukając jedną ręką, drugą dobyła z pod chustki jedyną swą święteczną sukienkę z zielonego perkaliku, która jej tak była do twarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## MEHMED ALI.

Mehmed Ali, pan na wschodzie  
Zmrokiem zasiadł w swym ogrodzie,  
Przy nim cudna krasawica;  
Takiej Ałlah niema w raju,  
Ni padiszach w swym seraju.

I szle Ałlah półksiężycą:  
»Chęć mnie bierze, miłość pali,  
Z biegnij — słysz, co rozmawiali!«  
I pół księżyc na dół zbiega,  
Srebrne rogi skrył za drzewa;  
Zakochany Mehmed śpiewa  
I zuchwalca niepostrzega.

Niepostrzega? — Zdradny synie!  
O! umykaj nim czas minie  
Bystrooka widzi ciebie! —

Ah! uchodzi szybkim zwrotem  
Ale Mehmed orlim lotem  
Ściga go po całym niebie;  
O obłoki sięgnął czołem,  
Kraj daleki zmierzył dołem,  
Taurus górę, jak pręt zgina;  
Księżyc niemógł umknąć, zboczył  
W czarne morze chciał już skoczył.

Ale co za gwar się wszczyną?

Liczny poczet gwiazdek jedzie:

»Ej! Bóg mówił Mehmedzie

Byś go zwoił od zagłady!«

Ali ręce w tył zarzucił,

Skinął dumnie, pieśń zanucił

I powraca w pyszne sady.

Idzie Syrią, Palestyną,

Z swoją myślą, z swą dziewczyną,

Egypt jak wazon w ogrodzie,

Obeliski gdyby kwiaty,

Mehmed Ali, pan rogaty,

Mehmed Ali, pan na wschodzie.

1837.

Szymański.

## ODPOWIEDŹ NA ARTYKUŁ

nadestany z nad Seretu.

Jeżeli zachęcałam młodzież do pisania, było to temi słowy: — »Czyż podobna ażeby prócz znajomych nam światłych i z wdziękiem piszących autorów, nie znalazło się pomiędzy naszą młodzieżą kilku takich, którzyby byli w stanie napisania ładnej powiastki, lub jakiego ulotnego ulamka? brakuje zapewne chęci nie zdolności, a może też śmiałości. A przecież nawet próba zdolności swoich, powinna być miłsza rodakom jak tłómaczenia.« Niewiem więc czy temi słowy mogłam zachęcić do pisania oryginalnie »źle czy dobrze« jak je sobie autorka odpowiedzi na moje »słów kilka« wytłómaczyła mylnie.

Wszakże jeśli wyraziłam iż zapewne pomiędzy młodzieżą naszą znajdują się tacy, którzyby ładną napisali powiastkę, już przez to słowo ładną, rozumie się, iż do złych nie zachęcałam; bo co się w piśmiennictwie podoba, co jest ładne, już złem nazwać nie można. Kto zaś czuje w sobie zdolność do pisania, obowiązkiem jest jego złożyć przed publicznością tej zdolności próbę; inaczej, gdyby nikt się nie ośmielił pierwsze swoje utwory literackie podać do druku, nie mielibyśmy i najdoskonalszych autorów. Gdy zaś kto napisze raz i drugi coś takiego, co się nikomu nie podoba, ręczę iż takie pisma i pisemka upadną same z siebie, chociażby ich nawet drukowana nie dotknęła krytyka; czego nie dopuszczą światlejsi autorowie, wytykając słusznie lecz bez zbytejnej żółci błędy, to dotknie przestroga przyjaciół, złośliwy uśmiech nieprzyjaciół, lub poważne milczenie publiczności, żyjącej bliżej lichego pisarza, ostrzeże, iż napisał coś bardzo płowem lub jaskrawo poziomego, i wstrzyma potok rozlewu atramentu na białej niwie papieru, aby go darmo nie kalat, nie użyżniając ni na owoc użytku, ni na kwiat przyjemności.



Wszakże mamy tego dowód w Zorze, przytoczonej od autorki odpowiedzi z nad Seretu, i kilku innych powiastkach, iż błysnąwszy bładą iskrą w świecie literackim, zgasły wraz z podpisami ich autorów, nie ukazując się więcej w dzienniku.

Wprawdzie z podpisem L. B. jaki znajdujemy w Zorze, jest parę późniejszych artykułów w tém piśmie, pióra kobiety, jako to: — Pogadanka z małego miasteczka i t. d. nie wiem jednak, czy tej samej ręki. Nie można mówić, że to jest źle napisane, chociaż rzecz się toczy w przedmiocie bardzo już obrobionym, z dodatkiem szczególniejszego paradoksu: że kobiety piszą tylko dla kobiet; jak gdyby kobieta nie mogła prawdy powiedzieć mężczyźnie, i wytknąć błędu, który spostrzedz umiała? Ach! Ilużto jest mężczyzn wiatroglowych, których złożywszy razem z dziesięciu, nie stanęłoby za jedną rozsądną kobietę. Tak też i odwrotnie: dziesięć kobiecych pustogłówek nie warte jednej światłej, męskiej głowy, ze zdaniem zdrowem, szlachetnem, wyjaśniającem każdy przedmiot.

Prócz tych kilka artykułów oryginalnych, znajduje się w dzienniku kilka tłumaczeń z podpisem L. B., wcale dobrą polszczyzną oddanych, chociaż przedmioty nie zbyt interesujące. Kto więc miał zdolność do przetłómaczenia małego ułamku lub powiastki wcale dobrze, mógłby się oddać przelaniu na ojezysty język dzieł większych, i uwolnić nas od istotnie niegodziwych tłumaczeń dzieł francuskich, jakie otrzymaliśmy w Arturze Suego, w Joannie pani Sand, w Żydzie wiecznym tulaczu i t. d.

Przyjaciółka więc tłumaczeń, jeżeli na tém polu swoich zdolności doświadcza, lub też lubi widzieć w innych biegłość w tym zawodzie, niech raczy skierować gust ten na większe dzieła. A w dzienniku wolelibyśmy przeczytać częściej coś oryginalnego, jak tłumaczonego, tem bardziej, iż moglibyśmy się z tą samą powiastką spotkać w dzienniku, którąśmy już w Rozmaitościach czytali, jak się to trafiło z Huraganem.

Na wypadek jednak, gdyby autorka odezwy z nad Seretu była tak płodna w pisaniu oryginalnych powieści i powiastek, jakimi są Zora i t. d. i była w możności napisania czterech podobnych na miesiąc, przyjmuje tę szczególną i wyłączną grzeszność dla mnie... z wdzięcznością; chociażbym — jak mi to obiecuje autorka przyszłych powieści własności narkotycznych — istotnie nad nimi zasnąć miała; ze względu, iż albo się przekonamy, iż nie tak jest łatwo, jak się zdaje, napisać dużo choćby i lichych powiastek; albo też otrzymamy powie-

ści z pod pióra autorki odpowiedzi na moje słów kilka, może więcej wartające, jak sama właścicielka przyszłych swoich utworów o nich sądzi; przezco wyznanie moje w każdym razie usprawiedliwione będzie, gdy się autorka z nad Seretu ze swego zobowiązania uiszczy.

Krytykować a pisać, różnica jest wielka. W krytyce przychodzimy do gotowego, w tworzeniu jesteśmy bez zasobów; w krytyce już z napisanego przedmiotu wywijają się jak z kłębka myśli, uwagi, spostrzeżenia, w tworzeniu wszystko z własnej głowy wysnuć trzeba. A chociaż i do krytyki potrzeba najprzód zdrowego zdania, wielu wiadomości i umniactwa pisania, przecież krytykować a pisać daleko jeszcze — jak to mówią po prostu — zład do owąd.

Zgadzać się z autorką odpowiedzi na moje „słów kilka“ na lichotę wszystkich wymienionych mi przez nią tak dzieł oryginalnych, jako też tłumaczeń, nie zgadzam się wcale na zupełną naganę Klementyny. Żałuję, że nie mam jej pod ręką i że ją już czytałam przed kilku miesiącami, gdyż mogłabym zdanie moje o niej jaśniej i dokładniej wyłuszczyć. Jednak z wrażenia, które mi po przeczytaniu tejże zostało w pamięci, do rzędu dzieł lichych liczyć nie mogę.

Najprzód, jest to dziełko pisane bardzo dobrze stylem pięknym, wyższego towarzystwa, jak naprzykład rozdział, w którym hrabina z Kremontowskim oddają sobie listy i wiele podobnych. Tu zaś, gdzie obraz zepsucia w niższych przedstawiony stanach, równie naturalnie, tak sposób mówienia jak i postępkę do położenia zastosowane, n. p. w owym rozdziale, gdzie na ementarzu Ślepietucha z innymi babami naradza się o kradzież w zakrystii; — jakże w okropnych a razem rzetelnych farbach przedstawił nam autor obraz nędzy i poniżenia ludzkiego!.. Ta dziecina spiąca w framudze muru na wiorach z trumny razem z gackami, pokłóta szpilkami, aby męczeństwem jakie wytrzymać zdoła, zarabiała na chciwość ludzką jeszcze w pieluchach, te baby jedzące i całujące się w grobie świeżo wykopanym na przyjęcie zmarłego; jakże przerażająco lecz na nieszczęście prawdziwie w tym obrazie przedstawione ztępienie uczuć, których nie już nie obudzi, nawet miejsce śmierci. — Dół wykopany na trupa służy za miejsce do pokrzepienia sił żywotnych, do układów zbrodniczych, do okazania fałszywych znaków przyjaźni — pocałunkiem, i stwierdzenia tymże pozornych związków, dla lepszego oszukania współników zbrodni. O! jakże smutno unosimy myśl z tego dołu śmierci, wyżej i jeszcze wyżej — aż do



tronu — od tych ludzi odzianych gałganami aż do purpury — i wszędzie, chociaż nie zawsze spotykamy serce bez czucia — umysł przewrotny....

Teraz wracam do Klementyny, tej kłuszącej bohaterki a nieprzypominając sobie wcale tego jej czynu — biorę toż samo moje zapomnienie za dowód, iż jeżeli Klementyna kasała swego kochanka, musiało to być w chwili, gdzie moc uczucia swojej krzywdy zbliżała ją prawie do szaleństwa, do wściekłości. Ten jej postępek niezostając w pamięci czytelnika, tak niewłaściwy dla kobiety dobrze wychowanej — musiała tłómaczyć chwila rozpacz, chwila bezwładnego gniewu. Tak jest, pozostając przy tem com wyrzekła; iż postępek Klementyny daje się usprawiedliwić nawet w dziewczynie dobrze wychowanej, chociaż przyznaje iż więcej jest takich kobiet, których łagodność nawet w najwyższym stopniu krzywdy i nieszczęścia, niepotrafiłaby posunąć gniewu do tak zapamiętałych i niezdolnych do osiągnięcia celu, środków.

Być może iż zdanie takowe nie może się ostać na estetyce romansów, lecz tylko na prawdzie, gdyż Klementyna jestto dziewczica energiczna, temperamentu żywego, którą oszukano haniebnie, bo nie przez namiętność chwilową, nie przez widoki samolubnych innych zamiarów dających się, chociaż z oburzeniem, przecieżyć wytłumaczyć ułomnością ludzką, lecz przez karygodną płochosć, nikczemną próżność, słowem, przez najpodlejszy zakład, jaki się tylko może wylęgnać w pustych głowach młodzieńczych. I takto oszukana, biedna, kochająca i razem pogardzająca dziewczyna, uniesiona niewysłowionym szalem gniewu, niemogłaż niewiedząc nawet o tem, popełnić w zapamiętałości czynu, którego przypomnienie nazwałaby oszczerstwem, przyszedłszy do upamiętania po uniesieniu. Ileż to kobiet, rozumie się kobiet bez wychowania, oddaje się w gniewie gorszym daleko postępkom zapalczywości, jednak tłómaczymy je dla czego? bo to są istoty prawie w stanie natury, oddające się zawsze pierwszym wrażeniom i popędom uczuć. Czyż kobieta żywego temperamentu, zerwawszy z całym towarzystwem wyższego świata, widząc ostatnią nadzieję uratowania swej sławy, wrócenia imienia swemu dziecięciu i sposobów go wyżywienia, wymykającą się z rąk jej, nie mogła w chwili gwałtownej rozpacz powrócić w stan natury, w stan niepamięci na godność swoją, którą jej nadało wychowanie i zostać człowiekiem, tylko człowiekiem, pogardzającym tem wychowaniem, które z Kremontowskiego nic nie zrobiło wyższego nad poziomego przestępcę.

Klementyna po tym zapamiętałym czynie nie traci w oczach czytelnika, chociaż nikt jej tego pochwalić nie może, gdyż charakter jej niezmiennie się do końca, ukazuje nam w niej zawsze stałą i energiczną dziewczynę. Jak ją oszukiwano pierwej, tak też i ona ludzi na ostatku Kremontowskiego zabłyskiem nadziei dostatków i szczęścia; zaślubia go, i wtrąca w przepaść bezcześci i niedostatku. Ileż by to kobiet było przebaczyło; Klementyna

nie. Zemściła się i trudnoż powiedzieć że źle zrobiła, idąc za natchnieniem Boga, który również jak i prawa ludzkie, chce za występki kary.

Jeżelibym miała, ile sobie teraz przypomnieć mogę, co do zarzucenia autorowi Klementyny, to to, iż w chwili, kiedy odważna Klementyna z pistoletem w rękę stoi nad drżącym i z oniewieściłym Kremontowskim, dyktując mu pismo świadczące, iż on jest ojcem jej dziecięcia i jej uwodzicielem przez haniebnny zakład, w tej więc chwili w której Klementyna działa z taką przytomnością, że nawet drzwi zamyka, możesz być, aby zapomniała o najważniejszej rzeczy, to jest: o przeczytaniu przed jego odejściem tego co on napisał? To zapomnienie nie jest naturalne, zwłaszcza znając wybiegi Kremontowskiego, i oczywiście spowodowane tylko dla tego, aby autor mógł dalej ciągnąć swoją historią, gdyż bez tego zapomnienia się Klementyny, już intrygi byłyby się zbliżały do końca.

Lecz czyż takich błędów i najslawniejsi niepełniają autorowie?..

Powtóre: przesadzoną miłość macierzyńską Klementyny uważałabym jeszcze za prawdopodobną, gdyby autor był ją utrzymał przynajmniej dłużej w tem uczuciu. Lecz po ukradzeniu dziecięcia przechodzi Klementyna z nieograniczonej, gwałtownej miłości nagle w stan zupełnie spokojny, zapomina o niem prawie, i zaczyna zajmować się swym losem. Jestże to naturalne?... Wszystkie uczucia nasze jeżeli się zmieniają, dzieje się to powoli, za wpływem czasu i rozsądku, żal walczy długo z koniecznością poddania się losowi, a im głębsze było uczucie, tem trudniej nagle zatamować źródło jego.

Tak więc to dzieło jak i wiele innych ma swoje wady i zalety, jednak pomiędzy złe lub lichy rachować go niemożna, gdyż czyta się go z zajęciem do końca i jest bardzo podobne do teraźniejszych francuskich romansów które świat cały tak chciwie czyta, chociaż potępia. Powiedzmy sobie na pociechę, iż jak człowiek tak i jego dzieła noszą na sobie zawsze piętno większej lub mniejszej niedoskonałości.

Jeżeli nam autorka odpowiedzi na moje słów kilka zechce wyjaśnić przyczyny których jeszcze może nie wiemy, dla czego w obcym języku bardziej u nas lubione żurnale jak swoje, będziemy je czytać chętnie. Ja zaś powtarzam to, co sama czuję, i słyszałam od innych; iż im interesowniejszej treści artykuły będą umieszczone w dzienniku, tem chętniej znajdują się prenumeranci, a nasze panie szlachetne i dobrze myślące polki, którym majątek pozwala dogodzić gustowi przyjemnych rozrywek, umieszczają obok dzienników w obcym języku pisanych bo dla czegoż i tych nie trzymać jeżeli kto może, swój, polski, krajowy, i uważać go będą, jako potrzebę serca, dogadzającą przychylności uczuć do mowy ojczystej, obce zaś, jako zbytową fantazją nieszkodliwą jednak, o ile pierwszy warunek obowiązków każdego prawego człowieka zaspokojony będzie: aby krajowe pisma więcej wspomagać i dawać im zachęty jak obce.

Maria ≈ Ch. P.